Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Z rykowiska w Karpatach. — W tajemniczych jarach ścielą się mgły... Fot. Wł. W. Barański.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 43 (698) 22 PAŹDZIERNIKA 1932 R.



OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na IV kwartał lub miesiąc październik.

Zawiadamiamy jednocześnie, że numery reklamowane (z powodu nieotrzymania) wysyłać będziemy przy ekspedycji najbliższego numeru po otrzymaniu reklamacji.

BACZNOŚĆ MYŚLIWI!

II Pokaz trofeów łowieckich odbędzie się w dniach od 3 do 20 listopada r. b., w Warszawie, w salach Kasyna Garnizonowego, przy Al. Szucha Nr. 29.

Protektorat nad Pokazem przyjął P. Minister Rolnictwa Seweryn Ludkiewicz.

Pokaz tegoroczny obejmować będzie trofea wyjątkowo ciekawe i rzadkie.

Na pokazie znajdą miejsce: łopaty łosi, wieńce jeleni, łopaty danieli, poroża sarnie, szable dzicze, a nadto mapy statystyczno-łowieckie poszczególnych województw, wykazy i wykresy, ilustrujące gospodarkę łowiecką.

Baczność Myśliwi!

Termin zgłoszeń przedłużono do dnia 24 października, po tym zaś terminie w drodze wyjątku przyjęte być mogą tylko eksponaty, zdobyte pomiędzy 24 i 31 października r. b.

Za miejsca na Pokazie żadne opłaty nie będą pobierane.

Eksponaty, nadesłane na Pokaz koleją, zwolnione są od opłat przy przesyłce kolejowej powrotnej.

Czas jeszcze zgłosić piękne trofea na II Pokaz trofeów łowieckich!

Zgłoszenia nadsyłać należy pod adresem:

Komitet organizacyjny II-go Pokazu trofeów łowieckich, Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 607-98.



Rozpiętość rogów (a-b) 112 cm. Wysokość prawej łopaty (c-d) 68 cm., lewej (e-f) 68 cm., grubość rogu przy róży (g-h) 18$^{1}/_{3}$ cm. Waga czaszki 10 kg.

Patrz artykuł na str. 708.

CZERWONE TROFEA.

(Dokończenie).

Stary urwał swe opowiadanie i również stanął, pilnie nasłuchując. W pierwszej chwili w wiszącej nad bagnem ciszy nic nie było słychać.

Czasami tylko kora cicho trzaśnie na karłowatej sosence, to znowu zapiszczy cieniutko w kołtuniastej trawie ptaszek bronzowy nurkując, jak mysz, w niewidoczne otwory kępy.

Ale oto mszar jakgdyby westchnął.

Fala powietrza niewidocznie przypłynęła, gdzieś hen, aż od boru, przynosząc niewyraźne, ledwo uchwytne szczęknięcie. Znowu wszystko zamiera. Znowu cisza szumiąca w uszach. Czyżby złudzenie?! Ale nie, gdyż za chwilę nowe westchnienia przynoszą daleki, lecz wyraźny gon, który to płynie drżącą, cichutką melodją, to znowu roztapia się w ciszy, milknąc zupełnie.

— Słychać wyraźnie, co zawrócił z powrotem i od kaziennego lasu w naszą stronę goni — odzywa się Mikołajko. — Trzeba prędzej dobrać się na „Zmieinny" hrud, bo tamtędy musowie jemu przechodzić — mówi stary i śpiesznie zaczyna iść, zbaczając wprawo od poprzedniego kierunku.

Rozpoczyna się niezmiernie męczący i szybki marsz przez zarośla bagna. Mikołajko idzie przodem zwinnie i lekko, lawirując między stożkami kęp i zbitym gąszczem łozy, ja zaś z trudem podążam za nim. Co chwila potykam się o wystające korzenie, to znowu z wysiłkiem gramolę się na kępę, która jak gdyby naumyślnie wpakowała mi się między kolana. Od czasu do czasu, plączę się w pożółkłych włóknach trawy i potykając się z rozmachem grzęznę po kostki.

— Co, nieskładno jakoś idzie? — zwraca się do mnie Mikołajko, szelmowsko patrząc z pod oka.

Poruszona jednak ambicja dodaje bodźca i mimo kroplistego potu przyśpieszam kroku i dalej bohatersko walczę z przeszkodami terenu. Za chwilę jednak Mikołajko znika mi z oczu, ja zaś rozpaczliwie szamoczę się w sieci poplątanych gałązek, czując, że zostawię w tej pułapce nietylko strzelbę, ale i część garderoby.

A gon Burka tymczasem staje się coraz wyraźniejszy.

Gorączka pośpiechu zapala ogniste rumieńce na twarzy, zalanej potem zmęczenia.

Lecz oto, na szczęście, zarośla rzedną, a grunt jest mniej zdradliwy. Wchodzimy między szare pnie suchotniczych sosenek, które wyrastają z baniastych kęp srebrzystego mchu. Mikołajko zatrzymuje się i oświadcza z całem przekonaniem:

— Jeżeli po drodze nie zdechnie, tak musi tędy przechodzić, tu ichni trakt, paniczu! Jeszcze żaden kozioł „Zmieinego" hrudu nie ominął, idąc z kaziennego lasu na wioskowe bagno.

— No, niech Mikołajko prędzej staje na swoje miejsce — przerywam staremu dygocąc cały ze zdenerwowania.

— Pośpieję, paniczu, pośpieję — odpowiada Mikołajko i odchodzi na drugą stronę hrudu.

Naszczekiwanie Burka rzadkie, lecz zajadłe słychać coraz bliżej.

Wybieram zasłonięte miejsce i staję pełen wzrastającego podniecenia.

Przede mną coś jakgdyby polanka, otoczona wieńcem gęsto rosnących, karłowatych sosenek. Mizerne i pokoszlawione drzewka, oblepione brodami siwego mchu, tworzą zwartą ścianę pni, pokrytych szarym liszajem. Poplątane wierzchołki suchotniczych sosenek jak zbutwiała płachta, wiszą nad samą ziemią. Wszystko jest przysypane szaro-stalowym popiołem mchu — i gałęzie, i pnie, i ziemia. Tylko sine krzaki jałowców ożywiają ten smutny krajobraz.

Stałem bacznie, wpatrzony w tę szarą, okalającą mnie ścianę, słuchając z bijącem sercem bliskiego już gonu.

— Ach, żeby tylko szedł tędy — modliłem się całą siłą swego pragnienia. Żeby wyskoczył o tam, w tej przerwie, na chwilę tylko — błagałem półprzytomny ogłuszony huraganem myśli i uczuć. Ręce mi drżały, serce potężnemi uderzeniami rzucało krew do głowy, czyniąc w uszach hałas okropny.

Zaklaskało po lesie zupełnie już bliskie szczekanie i zataczając półkole, zbliżało się ku mnie. Za chwilę posłyszałem w gęstwinie lasu tupot miarowy rosnący gwałtownie.

Stężałem z nadmiaru wrażenia. Zwarłem się w sobie, a drżące ręce, zaciśnięte kurczowo na strzelbie, gotowe były każdej chwili rzucić broń do oka.

Zatrzeszczały gałęzie i mignęła głowa, uwieńczona rogami. Huknął strzał. Wszystko zniknęło.

Zmartwiały zastygłem, nie opuszczając nawet broni. Skamieniały wzrok, utkwiony wciąż w miejsce, gdzie się ukazała głowa. Lecz oto nagle spostrzegam za wysoką kępą sterczące badyle rogacza, jak nożycowym ruchem w agonji tną powietrze. Fala szczęścia zalewa duszę. Chce mi się krzyczeć i płakać ze szczęścia.

Za chwilę wrzaskliwy po strzale gon urywa się i ukazuje się za kępą grzbiet Burka, który wywija fajkowatym ogonem, obwąchując zdobycz. Nadbiega Mikołajko z promieniejącem obliczem i rozpoczyna się bezładne i hałaśliwe opowiadanie wzajemnych przeżyć i wrażeń.

— Ot, wielka sztuka, psia jego mać — krzyczy Mikołajko. — A stary szelma, aż siwy cały zrobił się! A rogi, to jakie ogromniaste — wykrzykuje z zachwytem.

— Nu, paniczku kochany, tak już ojciec nieboszczyk takiego ochotnika w familji nie powstydziłby się. Popadł ty, ty, jemu paniczu, tak popadł. W samą komorę, ani waruchnął się po strzale!

Czuję, że jeszcze chwilka, a rzucę się staremu na szyję i zacznę zraszać jego lisie wiechy łzami rozrzewnienia i szczęścia. Ale Mikołajko, nie przerywając swych podziwów, wydobywa ze swej torby pokaźny kozik i zabiera się do operacji, o której wolę zamilczeć.

Ja tymczasem siedziałem na kępie, puszystej od mchów włochatych, i wzrokiem zachwytu i dumy patrzyłem na prześliczną główkę, uwieńczoną bronzowemi rogami, uperlonemi u nasady gronami kulistych wypukłości.

Niewiele czasu minęło, a wypatroszony rogacz leżał już z przewiązanemi w kolanach „badylami" i przesuniętym przez nie sporym drągiem ściętej sosny.

— No paniczu, — zwraca się do mnie Mikołajko — do domu daleka droga, trzeba już iść.

Wstaję niechętnie i, zarzuciwszy strzelbę przez plecy, z trudem podsadzam się pod dłuższy koniec drąga.

— Oj, nie da musi panicz rady — mówi Mikołajko, widząc iż czerwienieję z wysiłku.

Ale duma trzynastoletniego nemroda nie zna niemożliwości i mimo, iż drąg niemiłosiernie wpija mi się w ramię, robię minę zucha i dzielnie ruszam pewnym krokiem.

I rozpoczął się ciernisty i ponad wszelką miarę męczący marsz. Przygwożdżony ciężarem niesionej zdobyczy, zapadałem się w miękki grunt, potykałem się o korzenie i kępy z trudem łapiąc równowagę. Szliśmy na przełaj przez bagno, byle prędzej dostać się do grobli.

Mikołajko szedł przodem i wybierał drogę. Oparty o jego ramię krótszy koniec drąga, gdyż na siebie przesunął prawie cały ciężar, nie robił mu widać żadnej trudności, bo szedł lekko i zwinnie, bez żadnego wysiłku.

Ja zaś co chwila przekładałem z ramienia na ramię gniotący drąg, czując, iż długo takiego spaceru nie wytrzymam. Gdy potknąwszy się myliłem krok, kozioł jak wahadło zaczynał kołysać się na drągu, który miażdżył mi wprost kości, czyniąc nieznośny ból. Były chwile, iż chciałem już przyznać się, że ciężar jest ponad moje siły, ale duma chłopięca brała górę i zacisnąwszy zęby, chwiejnym krokiem szedłem dalej.

Początkowo Mikołajko gwarzył wesoło i dowcipkował, ale później widać i on począł odczuwać poważną wagę niesionej zdobyczy, bo ucichł i szliśmy w milczeniu.

Wolno posuwały się szeregi karłowatych sosenek, muskając po twarzy mackami gałęzi, z których zwisały frendzlami wilgotne brody mchu. Wolno wiła się śród gęszczaru dróżyna niewyraźna, wydeptana przez zwierza.

Anemiczne sosenki to zbijały się w bezładną gromadę, czyniąc gęszczar, przez który z trudem można było się przedrzeć, to znowu rozstępowały się i rzedły, tworząc małe polanki.

I szliśmy tak obaj, kołysząc się rytmicznie w takt kroków, jak łódź, pchana wiosłem, wolno, lecz miarowo.

Stożki kęp i zarośla, miejscami trawa wysoka i zżółkłe łodygi mszaru, rozstępowały się przed nami. Chwilami zatrzymywaliśmy się i składaliśmy swój bagaż z ramion na ziemię, by wypocząć trochę i wyprostować zgarbione ciężarem plecy.

Minęła już blisko godzina, jak maszerowaliśmy przez bagno.

— Co, paniczu, już duchu brakuje — odezwał się Mikołajko.

— Tak, trochę ciężkawo — odpowiadam urywanym głosem, z trudem łapiąc powietrze.

— Nu nic, już niedaleko do grobli, może wiorsta z hakom została — pociesza stary.

— Na grobli będziem czekać, aż jaka furmanka nadjedzie, a to już panicz bardzo zmęczywszy się.

Po zapewnieniu, że już pozostała tylko (!) wiorsta z „hakom", ruszamy dalej. Burek gdzieś zniknął z oczu. Droga staje się niewymownie ciężka. Zwarty gęszczar zmusza nas nachylać się, by jako-tako można było posuwać się po ledwo widocznej drożynie.

Przygarbiony, z trudem idę, krok za krokiem, uważnie patrząc sobie pod nogi, by nie rozłożyć się z rozmachem na ziemi. Gęszczar rzednie tworząc maleńką polankę.

Prostuję się i robię śmielszy krok, gdy wtem naskakuję na wiszącego na drągu kozła, gdyż Mikołajko gwałtownie czegoś stanął.

Podnoszę głowę i... kamienieję!

Na środku małej polanki zgasłe prawie ognisko sączy cienkie warkoczyki niebieskiego dymu. Dalej o kilka kroków leży dwóch ludzi. Jeden, zwinięty w kłębek, nakryty z głową porwanym szynelem, wcisnął się pod krzak, pokazując tylko bose pięty, czarne od brudu. Drugi leży nawznak, zakrywszy twarz czapką z pod której widać tylko wąsy i otwartą gębę, wydającą bulgotliwe chrapanie. Obok pod krzakiem stoją dwa karabiny.

Błyskawiczna myśl przeszywa mózg: Bolszewicy!

Stoję zdrętwiały i nie odrywam wzroku od otwartej gęby, z której wyrywa się chrapliwe rzężenie zarzynanego wołu. Przerażająca myśl, iż lada chwila śpiący obudzi się, jeży mi włosy. Wtem czuję, że drąg oparty na mojem ramieniu drga. Podnoszę oczy na Mikołajkę i widzę, że ten daje mi znaki, by kozła cicho położyć na ziemi. Spełniam polecenie, zamierając przy każdym szeleście.

Za chwilę Mikołajko zdejmuje swoją sążnistą „Berdankę" z pleców i trzymając ją za lufę, jak maczugę, lisim krokiem skrada się do stojących pod krzakiem karabinów.

Niebawem karabiny leżą koło mnie — choć mnie się zdawało, że upłynęły całe wieki!

I wówczas dopiero Mikołajko okazał się wielkim artystą, przeistaczając się w jednej chwili z chytrego lisa w groźnego, wspaniałego lwa!

Poprawił kapelusza, wyprostował się, nadął nabrzmiał, jak indor i ryknął strasznym głosem:

— Ruki w wierch, chamy zbuntowane!

Skutek był piorunujący, bo oto, obaj naraz zerwali się, jak rażeni prądem! Przez chwilę utkwili w nas przerażone, nieprzytomne oczy, a zobaczywszy uzbrojonych ludzi, jak na komendę grzmotnęli na kolana zgodnie wrzeszcząc:

— Pan, nie ubiwaj, ja wasz! Zdajuś... zdajuś! Pan ni ubiwaj! Pan, pan, pomiłuj, nie ubiwaj!

A Mikołajko stał wspaniały, wyniosły, jak wódz niezwyciężony przed błagającym o litość niewolnikiem.

— A mordy świńskie, a psy parszywe, ach wy hady kałmuckie, do Warszawy wam zachciało się, sobaki jedne! — wrzeszczał, zagłuszając lament przerażonych bolszewików.

— My tu z paniczem będziem dziesiątym potem oblewać się i taskać się po błocie, by osły objuczone, a wy, parsiuki nieskrobane, będziecie do góry puzem spać pod sosną. A niedoczekanie wasze! Wont do drąga, chamy zbuntowane!

I w rzeczy samej za chwilę kroczył zgoła dziwny orszak.

Przodem szło dwóch obszarpanych i bosych bolszewików niosąc na drągu zabitego kozła. Dalej biegł Burek, warcząc nieprzychylnie i obwąchując zasmolone portki czerwonych rycerzy.



Odbitka przedstawia zawartość śpichrza lisiego, rozkopanego w maj. Rydzyna-Dłutów, liczącego 79 sztuk różnej zwierzyny. Było w tem 2 bażanty, 2 cietrzewie, 1 kuropatwa, 43 zające i 31 królików. Łup obfity jak na jedną rodzinę, w którą wchodziło tylko 6 młodych.

A z tyłu szedłem ja i Mikołajko niosąc zdobyte karabiny. Hałas nasz orszak czynił nielada, bo nasi jeńcy nie przestawali lamentować i przekonywać, że nie są ideowcami, lecz poborowymi z Mińszczyzny, których knut komisarski wypędził z chaty na front. Nieprzejednany zaś Mikołajko, nie przestawał obdarzać niefortunnych wojaków, coraz to nowemi epitetami. Gniew swój i patrjotyzm wylewał w takim doborze słów, iż bez rumieńca na twarzy nie potrafiłbym powtórzyć.

Rzecz inna, że na pierwszym postoju skręcił każdemu porządne „cygarko, gdyż nasi jeńcy takim wzrokiem patrzyli na dym papierosa, że, jak mówił Mikołajko, jego „miętkie" serce nie wytrzymało.

— Na, zapal, może zaczadziejesz, czerwona pokrako! — mruczał stary podając tęgo nabitą kruczonkę.

Jaki efekt wywołało nasze zjawienie się we dworze, nie usiłuję nawet powtórzyć.

W każdym razie ja i Mikołajko, w jednej chwili urośliśmy na bohaterów w całej okolicy. Zdarzenie nasze niebawem przybrało charakter krwawej walki, w której było dużo zabitych i rannych. A że Mikołajko tych wersji nie obalał, lecz odwrotnie opowiadał wszystkim, kto chciał i nie chciał słuchać, odbiegając

troszeczkę od faktów, jakie miały rzeczywiście miejsce, to przekonałem się jeszcze tego samego dnia.

Gdy wszedłem wieczorem do kuchni, by dopilnować odpiłowania rogów, które miały być wspaniale oprawione, jako pierwsze moje trofea, zobaczyłem dosyć oryginalną scenę.

Na środkowej belce sufitu wisiał przybity za tylnie badyle, do połowy już obdarty ze skóry, kozioł. Przy nim stał Mikołajko z zawiniętemi rękawami i nożem w ręku, otoczony wieńcem fornali i dziewcząt. Stary gestykulując opowiadał coś z przejęciem, wywołując u słuchaczy okrzyki zdziwienia i przestrachu. W rogu koło wielkiego, palącego się pieca, siedzieli nasi jeńcy pożerając z łapczywością zgłodniałych zwierząt dymiącą zacierkę.

Stanąłem niepostrzeżony w cieniu przysłuchując się, co opowiada Mikołajko.

— ...tak ten mniejszy jucha, schwycił wintuwkie w łapy i ze sztykiem do mnie — ciągnął z ferworem stary. — Widzę ja, że chce mnie nanizać, by geńś na rożen, tak ja przysadził się i... jak skoczę, jak walnę w mordę przykładem, tak ten tylko i pokocił się na ziemię! — tu M. robi gwałtowny skok, błysnąwszy w powietrzu nożem, aż baby stojące naprzeciw rozskoczyły się z wrzaskiem.

— A tymczasem od śpiny dobiera się drugi had i tryka mnie sztykiem między łopatki, — mówi z rosnącym zapałem Mikołajko. — Tak... jak nie podskocze ja w góre, jak nie odwine się — i tu Mikołajko zabawnie podskakuje, okręca się z rozmachem w powietrzu i... staje naprzeciw mnie, twarzą w twarz. Speszył się poczciwina obecnością takiego słuchacza, stał przez chwilę z otwartą gębą, niebawem jednak odzyskawszy pewność siebie huknął na fornali:

— Co stoicie paszcze poroztwierawszy?! Swoje już zrobili, co? Wont do roboty, śmierdziuchy leniwe!

— No, no, — pomyślałem wychodząc z kuchni — ależ ty braciszku masz bogatą fantazję!

Ale dosyć już gwarzyć, koledzy-myśliwi! Godzina późna, a ja muszę jeszcze doczytać rozdział „o dowodzie ze świadków". Chociaż szczerze mówiąc nie bardzo mi trafiają do przekonania owe wywody o pamięci ludzkiej.

No, bo proszę, tyle już lat minęło od opowiadanej Wam przygody, tyle różnorodnych miałem zdarzeń, tyle przeżyć najrozmaitszych, a przecie potrafiłem powtórzyć Wam owe, dawno minione chwile, nie pomijając najdrobniejszych nawet szczegółów.

Wprawdzie niejeden z was, koledzy, może powiedzieć:

A któż cię bracie wie, czyś nie nałgał od początku do końca?!

Ha, trudno! Nie wierzycie — to spytajcie Mikołajkę.

ST. PACEWICZ.



„W O J T E K".

(Dokończenie).

Ponieważ strzały sztucerowej mej lufy nie bardzo mi się podobały, obydwa bowiem rogacze nie padły w ogniu, z przyczyny pewnego górowania kuli, postanowiłem następnego dnia, dać z niej kilka strzałów do tarczy, ażeby należycie broń tę wypróbować, przyczem się okazało, że brałem strzelaną sztukę zbyt wysoko, t. j. celowałem wprost na komorę, zamiast celować tuż pod nią, gdyż tak widocznie broń ta była przystrzelona. Od tej też chwili kulowe moje strzały do sztuk grubszych bywały celniejsze, a głównie skuteczniejsze i niejedna następnie strzelana sztuka przeważnie padała w ogniu... jeśli oczywiście nie pokpiłem sprawy.

Choć właściwy temat, dotyczący owego „Wojtka" już wyczerpałem, muszę tu zarazem wspomnieć o jednem jeszcze niezwykłem wydarzeniu, jakie podczas tak mile spędzanego w tym gościnnym domu urlopu, przeżyć mi jeszcze pewnego razu przyszło. Otóż, któregoś dnia zawitał niespodziewanie w gościnne te progi siostrzeniec staruszka, młody akademik, który, choć nie myśliwy, towarzyszył mi często w mych myśliwskich wyprawach, by jak najwięcej użyć wiejskiego powietrza, był bowiem nieco słabowitego zdrowia. Gdy nachodziliśmy się często, aż do umęczenia za kuropatwami po polach i królikami po zagajach i lesie, wtedy celem odpoczynku, wyciągało się z kieszeni jaką zabraną książkę i leżąc, spędzało się czas na zajmującem czytaniu, lub pogawędce.

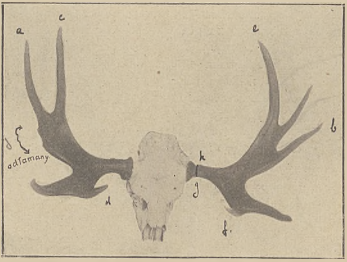
Pewnego razu podczas takiej naszej wyprawy, wychyliwszy się z lasu na przyległe pole, zauważyłem w oddali pasące się cztery sztuki sarn. Dawszy znak memu towarzyszowi, oraz chłopcu, noszącemu za mną

ubitą zwierzynę, cofnęliśmy się szybko z powrotem w zagaj, a przyłożywszy lornetkę do oczu, zacząłem przyglądać się owemu stadku, składającemu się, jak się okazało, ze starej, tęgiej kozy z dwoma młodemi, oraz starego kozła. Gdy ten ostatni wykręcił się do mnie przodem ze wzniesionym w górę łbem — aż mnie mrowie po grzbiecie przeszło, gdy mi swe różki w całej ich okazałości zaprezentował, bo choć stał ode mnie na jakie 300 do 350 kroków, mimo to dokładnie dostrzegłem przez szkła grube i bardzo foremne jego różki, a nawet na tylnej odnodze u prawego rożka wystające dość znacznie w górę pewne zgrubienie, jakby zaczątek czwartej odnogi. Sztuka była silna i zakrawała na starszą. Niestety dystans był za daleki na moją dubeltówkę, bo choć miałem w mym pasie kulę „idealkę"*), to jednak na tak znaczną odległość — celny z niej strzał był oczywiście niemożliwy, a tu przecież okrutnie się chciało zdobyć podobnie piękne trofeum. Po chwilowym namyśle, zaświtał mi plan inny, a mianowicie, poprosiłem towarzyszącego mi akademika, ażeby wraz z chłopcem, noszącym ubitą zwierzynę, obeszli stojące sztuki możliwie daleko, a następnie rozstawieni w pewnej od siebie odległości, zaszli je od tyłu i w moją stronę postarali się je wolno popędzić, kierując ku obecnemu memu stanowisku, na którem pozostać zamierzałem, a że wprost nas rósł w polu nad rowem wysoki tarkowy kierz, służyć więc on im będzie wskazówką — gdzie właściwie stoję.

Zostałem więc na miejscu, a moi towarzysze rozeszli się żwawo brzegiem lasu w przeciwnych kierunkach, by po okrążeniu spokojnie żerujących sarn zajść im od tyłu i w moją stronę je spędzić. Wprawdzie niewiele miałem nadziei, że fortel ten się uda, lecz wyboru, jak tutaj, nie było żadnego — czemuż więc nie popróbować! A więc — poszli.

Nie spuszczałem sarn z oka i po jakiejś chwili dostrzegłem, że zaczęły się do pewnego stopnia niepokoić, zbiły się w kupkę i nagle w szybkich susach — pomknęły w bok pola na lewo, równolegle do linji lasu. Widząc, że fortel mój się nie udał, przysiadłem tam, gdzie stałem na wystającym z ziemi wielkim głazie, a że króliki zaczęły się na dobre kręcić w pobliżu, zmieniłem więc włożony do mojej dubeltówki kulowy ładunek na śrutowy i czekałem na pojawiające się coraz to liczniej pod wieczór owe stworzenia, a gdy jedno z nich w pobliżu mojem przebiegało — strzeliłem. Śmiertelnie raniony szkodnik zaczął gwałtownie się rzucać i wyprawiać potem dziwnie wysokie susy, odbijając się od ziemi sprężyście w górę, a że jego nora była tuż przy nim, obawiając się więc, by mi do niej nie wpadł, poskoczyłem, ażeby go złapać, gdy zaś miałem go w swej garści — dostrzegłem nagle poprzez drzewa zagaju, że owe stadko sarn widocznie nawróciło i pędzi od pola wprost w moim kierunku, przygniótłszy więc szarpiącego się wciąż jeszcze królika nogą, szybko sięgnąłem do kieszeni po kulowy nabój, by być do strzału gotowym, gdy sarny podbiegną, a gdy znalazły się ode mnie na 30 do 40 kroków i jakby specjalnie dla mnie, na moment przystanęły, skorzystałem z tego i do rogacza wygarnąłem wprost w piersi kulą, włożoną przed małą chwilą w lufę.

Jakby kosą podcięty, runął on na ziemię, a po chwili, gdy mocno rozigrane moje nerwy po tego rodzaju, szybko po sobie następujących wydarzeniach, do równowagi nieco powróciły, podszedłem do leżącej już spokojnie sztuki, by skonstatować przedewszystkiem efekt idealki, a następnie wziąć się do obejrzenia rożków, którym już poprzednio, przez lornetkę, dość dobrze się przyjrzałem. Znalazłszy się przy mym



Rozpiętość rogów (a-b) 101 cent. Wysokość poroży łopaty (c-d) 74 cent., lewego (e-f) objętość koło róży (h-g) 18½. Waga czaszki 9 kilo i 700 gr.

Patrz artykuł na str. 708.

rogaczu, napróżno upatrywałem owej wielkiej dziury po idealce, gdyż wielki jej kaliber, powinien był przecież nielada otwór w piersi rogacza wywiercić, a tu sączyło się zaledwie kilka kropel farby ze zestrzelanej piersi i z przodu szyi. Narazie wprost tego pojąć nie mogłem, co tu się stało i dopiero po chwili, sięgnąwszy do kieszeni kurtki i wyciągnąwszy z niej dwa znajdujące się tam naboje, z których jeden był nabity drobnym śrutem, a drugi... kulą, na dobre, jak to mówią „świeczka mi się zapaliła" i oczywiście domyśliłem się odrazu, co tu właściwie się stało. Otóż po wyjęciu z prawej lufy mej broni kulowego naboju i zamianie tegoż na śrutowy z mego pasa, by móc strzelić do kręcących się w zagaju królików, wsadziłem wyjęty z lufy kulowy nabój do prawej kieszeni mej kurtki, gdzie tkwiły dwa naboje, nabite drobniejszym śrutem, a przeznaczone na dość często napotykane przezemnie, w moich wędrówkach, stada kwiczołów. Gdy dostrzegłem podbiegające ku mnie sarny, wyrzuciłem

---

*) Kula do luf czokowych, w której wzdłuż jej środka znajdował się na wylot, przez całą jej długość, koniczny otwór w kształcie ślimaka, a który po wystrzeleniu nadawał kuli przez pęd przedostającego się przezeń powietrza, wirowy obrót wokoło podłużnej jej osi, a dlatego kule te biły nadzwyczajnie centrowo na dość dalekie nawet odległości, a po trafieniu — deformowały się i rozrywały w liczne kawałki, zadając wielkie, szarpane i śmiertelne rany strzelanej sztuce. Kul tych, niestety, nigdzie u nas obecnie nie można dostać, a nadają się one znakomicie na grubszą zwierzynę, zwłaszcza na dziki, strzelać bowiem niemi można ze zwykłej śrutowej, a i czokowej nawet broni, która, jako o wiele składniejsza od wielu sztucerów, jest, zwłaszcza na wąskich duktach, najodpowiedniejsza dla wielu myśliwych na grubszą zwierzynę, gdy taką kulą jest nabita.

szybko z prawej mej lufy śrutowy nabój na ziemię i sięgnąłem do kieszeni po kulowy, by nim do nadbiegającego rogacza strzelić, i w tym nieszczęsnym pospiechu, pochwyciłem w kieszeni, zamiast kulowego... śrutowy, z którego też do mej ofiary palnąłem! A to było przyczyną, że następnie owego śladu kuli w piersi rogacza... nie było, co mnie naturalnie, zwłaszcza w tym to wypadku, rzetelnie struło, tembardziej, że strzał śrutem do rogacza był już i wedle mych zapatrywań — pewnego rodzaju fuszerką!

Ano — stało się coś podobnego mimo mej woli, lecz za to sam widok prześlicznych, jak rzadko rożków, leżącej u nóg moich sztuki, natychmiast złagodził moje ówczesne zmartwienie, był to bowiem stary już kozioł, o wyjątkowo foremnych, rozłożystych i ślicznie operlonych rożkach, a w dodatku i wielkich, schodzących się różach, których wspólny obwód, wymierzony po powrocie z polowania, wynosił 24,5 cm. Wysokość rożków, mierzona po ich krzywiźnie wraz z różami, wynosiła 23 cm., a największa ich rozpiętość—15,5 cm Obwód rożków, tuż nad różami — 10,7 i 10,2 cm. Długość rozwidleń dolnych — 6,0 i 5,5 cm.; środkowych — 6,5 i 7,0, końcowych zaś — 5,6 i 5,0 cm., a pozatem na środkowem rozwidleniu prawego rożka istniało znaczne i ku górze wystające wywyższenie, przypuszczaćby więc można, że owa sztuka stałaby się w następnym roku — ósmakiem, gdybym tak nielitościwie nie skrócił jej życia i to w dodatku... śrutem! czego jakoś do dziś dnia wciąż jeszcze strawić nie mogę, gdy kiedykolwiek na różki te spojrzę!

Prócz tych, powyżej opisanych rogaczy, ubiłem tam, podczas ówczesnego mego urlopu, trzy jeszcze sztuki, lecz o znacznie słabszych już rożkach, kilka zaś sztuk, pozostałych tam kapitalnych młodszych kozłów pozostało nietkniętych w celach hodowlanych. Kuropatw ubiłem podczas tegoż urlopu godną ilość, oraz sporo bażantów, a pozatem kilkanaście różnych kaczek, które zbierały się ku jesieni w wielkie i liczne dość stada na przepływającej przez obszerne dworskie łąki, szerokiej strudze, pozarastanej po brzegach wodnem zielskiem, a również i na trudno dostępnem, wielkiem, polnem trzęsawisku, porośniętem kępami karłowatych olszyn. Królików wytępiłem tam również niemało, gdyż rozmnożyły się one po zagajach i lasach w dość wielkiej ilości, mimo masowego ich tępienia przez służbę leśną. Słowem na brak różnorodnej zwierzyny i rozmaitych myśliwskich terenów uskarżać się tam wcale nie było można.

Urlop mój dobiegał końca i jakoś coraz to smutniej robiło się człowiekowi na duszy, a chcąc jeszcze i resztę krewniaków odwiedzić i jechać po żonę, która wraz z dziećmi u nich bawiła, z prawdziwym więc żalem pożegnać mi się przyszło z drogim staruszkiem i z jego tak gościnnym domem, polami i borami, które w ciągu szeregu lat następnych niejednokrotnie jeszcze, a zawsze z radością, odwiedzałem, czy to z bronią, czy też i bez niej.

Niestety ów zacny i drogi mi Staruszek... spoczywa już od lat paru w grobie, lecz stale i szczerze uczuwana przezemnie Doń wdzięczność, oraz tak miłe mi wspomnienia z tylu lat tak radośnie spędzonych z Nim chwil w Jego milutkim dworku, borach i polach... na zawsze utkwiły mi w mej pamięci i póki Wszechmocny żyć mi tu na tym świecie jeszcze dozwoli — póty niezatarte, a tak wciąż drogie memu sercu wspomnienia i do mego, a niedalekiego już końca — stale towarzyszyć mi będą.

Śpij więc Drogi mi Staruszku! Spoczywaj w spokoju... aż się znowu spotkamy, lecz... nie w Twym już dworku, Twych polach i lasach!

EMIL KARNEY

POLOWANIE Z OŚCIĄ NA RYBY.

(Dokończenie).

Teraz wpływamy czółnem na wartki prąd wody. Przez całą szerokość rzeki pędzi prąd, przez bród, z szaloną szybkością. Woda tu zawsze faluje, słychać jej szum zdaleka. Są to t. zw. szypoty lub klekoty, kraina brzan i świnek. Ryby denne chętnie przebywają na tych bystrych prądach i tu je o każdej porze można spotkać. Czółno płynie wolno pod prąd, lecz falowanie wody utrudnia możność dokładnego przeglądu dna, czy na niem nie przebywają ryby. Po pewnym czasie, udaje się nam znaleźć stadko brzan, płynących wolno w górę rzeki. Dajemy znak wioślarzowi, by skierował czółno w stronę płynącego stada. Wioślarz wytęża siły i dopływamy do ryb. Uderzamy ością w pierwszą, którą dosięgnąć można. Dobrze trafiona ryba zostaje na ości, lecz trudno ją wyjąć z wody, bo silny prąd może ją łatwo zerwać, a wtedy na tak bystrej wodzie ryba zwykle przepada. Trzymając przyciśniętą do dna, czekamy chwili, kiedy czółno zrówna się z drążkiem ości, a wtedy szybko wyrzucamy rybę do łodzi. Tymczasem stadko brzan posunęło się dalej i znikło nam z oczu. Daremnie przejeżdżamy w różnych kierunkach bród, brzan już na niem niema, natomiast często trafiają się świnki (pidusty), których kilkanaście, przez nas ubitych, leży już w łodzi. Wyjeżdżamy z brodu na toń, dna na niej nie widać. Widzimy jednak płynącego pod wierzchem wody wielkiego bolenia, ten jednak, choć wolno, stale uchodzi naprzód, tak, że go z łodzi dosięgnąć nie można. Widząc, że mądra ryba podjechać się zbliska nie da, rzucamy ościami, jak oszczepem i szczęśliwie udaje się nam trafić rybę. Raniony boleń płynie pod wodą z ością wbitą w grzbiecie. Uszedłby z pewnością, ale czterometrowy drążek, z miękiego drzewa nie pozwala mu zanurzyć się głębiej. Koniec drążka widać wciąż nad wodą. Dopędzamy zmęczoną rybę i ostrożnym lecz szybkim ruchem wrzucamy bolenia do czółna. W miejscach zarośniętych wodorostami, jednak na dość szybko płynącej wodzie, trafiało się nam nieraz spotkać dużego suma. Raz ubiłem ościami potwora, długiego na jeden metr i osmdziesiąt centymetrów, waga jednak tej ryby była stosunkowo mała, bo 37 kg. Potworną rybę trafiłem w głowę i kto wie, czy sambym

dał jej radę, gdyby nie pomoc wioślarza, który drugą ość wbił w grzbiet ryby i tak wspólnemi siłami wyjęliśmy suma w czółno.

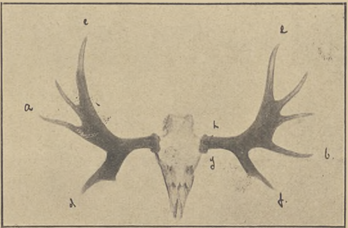
Wiele razy na brodach spotkałem się z czeczugą (Acipenser ruthenus). Dziwna ta ryba bez ości i bez paszczy, a nawet bez kości pacierzowej łatwą jest do ubicia; nietylko w nocy, ale i w dzień słoneczny można ją łatwo podjechać i ubić. Czeczugę najczęściej się spotyka w późnej jesieni i na początku zimy. W zimie już przy parostopniowym mrozie bicie ością utrudnione jest przez to, że oście obmarzają lodem, dlatego należy żelazo trzymać wciąż zanurzone w wodzie. Przy cokolwiek większym mrozie płyną kry, ale te nie byłyby wielką przeszkodą, gdyby nie to, że równocześnie lód tworzy się na dnie kamienistem i odrywając się od dna mąci wodę, unosząc ze sobą namuł.

Szczupaki w późnej jesini wychodzą w nocy z głębin pod sam brzeg i tu stoją nieruchomo. Łatwo je wtedy ubić, jeżeli woda tam, gdzie stanął szczupak, jest na tyle głęboka, że dojdzie tam czółno. Gdy dno czółna trąci o kamień na dnie, szczupak jak błyskawica mignie w jednej chwili, uchodząc na głębię. Najmniejszy stukot o czółno wiosłem lub drążkiem ości, płoszy go również. Tak samo głośna rozmowa i każdy ruch w czółnie, wystraszy tę czujną rybę. W później jesieni w nocy przy brzegu w zakątkach tworzy się skorupa lodu, pod nią chętnie chronią się szczupaki i tam ich ością dosięgnąć nie można, gdyż w chwili, gdy czółno zetknie się z lodem, uchodzą momentalnie. Radziłem sobie w ten sposób, że brałem do czółna nabitą śrutem dubeltówkę, gdy się okazało, że do stojącego przy brzegu szczupaka dojechać z powodu płytkiej wody lub cienkiego lodu nie można, strzelałem do ryby zawsze dobrym skutkiem. Strzelbę nabitą dobrze mieć ze sobą. W czasie gęstej mgły można podjechać kaczki, gęsi lub łabędzie na parę kroków przed sobą. Strzelając nawet na ślepo, do zrywającego się stada ptaków, zawsze prawie liczyć można na to, że spadnie jedna lub więcej sztuk na wodę. Również, gdy się płynie przy wysokich brzegach leśnych często spotkać można lisa, który poluje na kaczki lub nawet i na ryby. Lis zaciekawiony światłem, czując się bezpiecznym w ciemnościach siedzi i przygląda się łowcom, gdy się mu zaświeci w oczy latarką, ujrzy się na brzegu dwa światła, jakby dwie lampki elektryczne, żarzące się w ciemnościach. Wtedy należy w te ślepia strzelić, bez namysłu, bo lis długo siedzieć na miejscu nie będzie. W chwili, gdy się ruszy już go widzieć nie można,—przepadł. Płynąc w zakątkach, gdzie woda spokojna osadza na dnie wiele namułu, zawsze prawie spotkać się można z leszczem, lub też karpiem, albo wyrozubem (Leuciscus wyrosubus). Z powodu, że w tych kątach na dnie leży gruba warstwa lepkiego namułu, czyli tak zwanego gleju, bijąc rybę, uważać trzeba na to, by jej w glej nie wtłoczyć, bo jeżeli to się stanie, to nawet najlepiej trafiona i największa sztuka napewno przepadnie.

Lepki glej, przytrzyma zabitą rybę i zerwie z ości. Woda w jednej chwili silnie się zmąci i daremnie potem szukać będziemy ryby, leżącej w mule.

Na miejscach takich bić trzeba ością na cofańca, tak jak się bije kulą bilardową przy grze w karambola, jeżeli chcemy by się wstecz cofnęła. Żadna ryba w naszych rzekach nie jest tak przystosowana barwą swego ciała, jak czop. Czop leży zawsze na samem dnie. Płynie tylko wtedy, gdy się przenosi na inne miejsce, lub gdy się rzuca na zdobycz. Spłoszony błyskawicznie znika z oczu. Czop jest tak łudząco podobny do kamyków, na dnie leżących, że gdy się płynie pod wodę trudno go wyśledzić, płynąc jednak z wodą i przeświecając dno spostrzega się czopa z łatwością, gdyż zdradzają go oczy, które świecą jak dwa świętojańskie robaczki między kamieniami.

Często nawet doświadczonemu łowcy zdarza się, że bierze leżący na dnie kamień za czopa i bije weń ościami. Szczególnie w takich miejscach, gdzie dno usłane jest gęsto kamieniami, pokrytemi zielonawo brunatnym planktonem w różne desenie. Są wielkie przestrzenie na Dniestrze, gdzie dno stanowi jedna płyta czerwonego piaskowca z licznemi rysami i pęknięciami. Na takich miejscach czopy najchętniej lubią przebywać i tu najprędzej można je upolować. W smaku czop nie ustępuje pstrągowi, a może nawet ma delikatniejsze mięso.



Rozpiętość rogów (a-b) 114 cent. Wysokość prawego rogu (c-d) 74, lewego (e-f) 73 objętość koło róży (h-g) 21 cent. Waga czaszki 10 kilo 200 gram.

Patrz artykuł na str. 708.

Polując często w jesiennej porze na Dniestrze z ościami przy świetle lampy miałem nieraz różne przygody i wypadki. Płynąc w czółnie po dość głębokiej wodzie ujrzałem przy świetle lampy duży blok kamienny, leżący przedemną na dnie. Ponieważ miałem już wprawę w ocenianiu złudnej przy świetle lampy głębokości wody, byłem pewny tym razem, że łódź przepłynie ponad kamieniem i nie zawadzi dnem. Nie dałem przeto sygnału wioślarzowi, aby skręcił w bok czółnem. Wjechaliśmy wprost na skałę. Łódź w samym środku zawadziła dnem o kamień i zatrzymała się raptem w rozpędzie. Skutek był ten, że wyleciałem z niej, jak z procy, i na parę kroków przed dziobem łodzi wpadłem do wody powyżej pasa.

Lampa, którą trzymałem w ręku wypadła mi do wody i w jednej chwili ogarnęła nas grobowa ciemność. Ości nie wypuściłem z rąk i temi mogłem się podeprzeć, gdyż inaczej prąd wody nie pozwoliłby mi utrzymać się stojąco i musiałbym płynąć i cały zanurzyć się w zimnej lodowatej wodzie. Przestraszony wioślarz, nic nie widząc w ciemnościach, nie miał pojęcia, co się ze mną dzieje i gdzie się znajduję. Zawołałem go, by

płynął wprost pod prąd. Za chwilę uczułem uderzenie dzioba czółna w moje plecy. Wyciągnąwszy w tył, poza siebie obie ręce, chwyciłem wnet za burtę i odbiwszy się o dno nogami, wsunąłem się na grzbiecie na spód łodzi. Latarka acetylenowa i oście zostały w wodzie. Byliśmy pogrążeni w zupełnej ciemności. Mimo tej nagłej i niespodziewanej zimnej kąpieli, czułem się zupełnie dobrze. Okazało się, że w łodzi na siedzeniu wioślarza jest trochę suchej słomy i wioślarz ma zapałki. Wnet zaświeciła się, słomiana pochodnia, a przy jej blasku podjąłem oście, sterczące rączką do góry z wody. Przy pomocy ości wyjąłem z dna odnalezioną przy świetle słomy latarnię. Byłem pewny, że palnik z talku (łojek) wskutek zamoknięcia, nie będzie funkcjonował, a zapasowego przy sobie nie miałem. Postanowiłem jednak przekonać się, czy latarnia świecić może. Lecz skoro tylko przytknąłem zapaloną zapałkę do palnika, buchnął jasny płomień. Byłem tem niezmiernie ucieszony, bo wracać sześć kilometrów wodą w ciemną i czarną, jak sama noc, nie było przyjemnem.

Miałem teraz do wyboru albo przybić do brzegu i iść pieszo do domu, co ze względu na przemokłą aż do pasa odzież było wskazanem dla zapobieżenia przeziębieniu, albo wracać wodą łodzią i przy tej sposobności ubić kilkanaście sztuk ryb, narażając się jednak na skutki przeziębienia. Pasja myśliwska wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem. Popłynąłem z powrotem łodzią.

Po drodze powrotnej trafiłem na stado brzan, z którego kilka sztuk parokilogramowych znalazło się w łodzi. Kąpiel zimna, wcale mi nie zaszkodziła i nawet nie dostałem kataru, do którego przy lada przemoczeniu nóg zawsze byłem skłonny.

Innym razem, płynąc pod silny prąd, ujrzałem przed łodzią na kilka kroków jakąś do tej pory nieznaną i niespotykaną ogromną rybę. Potworna ta ryba pokryta była jakby srebrną blachą, od której odbijało światło lampy. Chcąc prędzej dogonić płynącą rybę, której z łodzi nie mogłem ością dosięgnąć, dawałem wciąż gwałtowne znaki wioślarzowi, by parł co sił naprzód. Ten wnet mię zrozumiał i co tylko mu sił starczyło gonił naprzód czółnem. Lecz bardzo silny prąd, nie pozwolił na prędki bieg łodzi. Naraz owa ryba płynąca przedemną znikła.. Skierowałem światło na boki i z najwyższem zdumieniem ujrzałem o kilka kroków z boku łodzi dwa światła czerwone, świecące ponad samą wodą, jakby dwa żarzące się węgle. Teraz zrozumiałem, że ową srebrną rybą była wydra. Tym razem nie miałem strzelby nabitej przed sobą. Zanim wyciągnąłem z kieszeni browning, wydra znikła w ciemności.

Dziwnem to się każdemu zdawać może, i mnie również było, że płynąca pod wodą wydra lśniła białem srebrem. Wiadomo, że wydra ma ciemno-kasztanowate futro, miękkie, lecz lśniące. Gdy wydra płynie w wodzie, woda nie przylega do włosów, lecz powietrze otacza każdy włosek jakby bańką. Z tej przyczyny cała powierzchnia futra lśni srebrnym blaskiem. Wydra po wyjściu z wody nie strzepuje się tak, jak to czynią psy po kąpieli. Wydra bowiem jest zupełnie suchą, tak, jak jest nią kaczka lub łabędź, kiedy wypłynie z wody po nurkowaniu w niej.

Bicie ryb ościeniem na Adrjatyku i Morzu Śródziemnem z zamiłowaniem uprawiają tamtejsi rybacy. Mieliśmy sposobność w roku 1915 brać niejednokrotnie udział w tem zajmującem polowaniu.

W tym czasie jednak wzbronionym był wyjazd na morze ze światłem i tylko do godziny piątej wolno było przebywać na morzu. W styczniu 1915 r. w jasny ciepły słoneczny dzień wyjechałem z małej przystani łodzi rybackich przy Quarnero z rybakiem Kroatem, na połów płastug, które w tym czasie podchodzą z głębin na płytsze miejsca przybrzeżne.

Morze było spokojne, co o tej porze roku rzadko się trafia. Gładka tafla wody lazurowej barwy zlewała się na widnokręgu z takąż samą barwą nieba. W dali przed nami, majaczyły góry wyspy „Cherso" z boku od lądu, widać było Tryglaw, pokryty śniegiem. Podnóże góry okrywała zieleń laurów, a niżej przy morzu rosły palmy i agawy. Na tle tej zieleni drzewa tulipanowe, okryte bujnem kwieciem, odbijały barwnemi plamami. Leciutki wiatr ciepły od brzegów Italji pozwolił na rozwinięcie żagla. Płynęliśmy wolno, śledząc głębiny morskie i obserwując pilnie piaszczyste dno, czy nie ma na niem ukrytej płastugi. Woda w morzu Adrjatyckiem jest tak przezroczysta, że na głębokości 10 i więcej metrów można jeszcze widzieć dokładnie dno morskie i pełzające po dnie homary. Rybacy łowią homary, spuszczając na pełzającego raka żelazną łapkę. Przy zatknięciu się z wystającym u dołu łapki kolcem, ze skorupą homara, lub innego skorupiaka, łapka natychmiast chwyta żelaznemi kleszczami zwierzę. Chodzi teraz o to, by z czółna spuścić na sznurku żelazną łapkę wprost na grzbiet skorupiaka, bo jeżeli się go nie trafi, to łapka zetknąwszy się z dnem. zamknie się, a rak spłoszony ucieknie. Na znacznej głębokości z chwiejącego się czółna należy mieć dobre oko i wprawę, by kolec żelazka, trafił na skorupiaka przy zapuszczaniu łapki w wodę, a nie uderzył w dno morza. Oście, używane na morzu, nie różnią się w niczem od ości, któremi posługiwałem się na rzece. Tylko drążek bambusowy jest o wiele dłuższy, gdyż długość jego wynosi siedem metrów. Naturalnie, że przy tej długości drążka i sposób bicia ryb musi być inny. Nie można bowiem na taką głębokość zmierzyć i bić rybę odrazu z góry, od powierzchni wody. Wprzód należy pomału spuścić ość w wodę, a gdy ta jest ponad rybą na nieznacznem oddaleniu, wtedy dopiero z całych sił uderzyć.

Łódź nasza płynęła wzdłuż brzegu w oddaleniu niespełna jednego kilometra. W tem miejscu morze nie było głębsze ponad pięć metrów. Dno piaszczyste, pomarszczone w karby, jak maglownica, nie było pokryte wodorostami. Kiedy niekiedy, ukazywała się rozgwiazda, leżąca na dnie, prawie białego koloru, odbijając już zdaleka swem ciemno-brunatnem zabarwieniem. Ryb jednak nie było widać. Wtem rybak puścił sznur od żagla i łódź nasza za chwilę stanęła w miejscu. Zaciekawiony śledziłem ruchy rybaka, gdyż byłem pewny, że ujrzał coś na dnie i zamierza ościami, które podjął z łodzi, uderzyć. Próżno jednak wytężałem wzrok, nic na dnie nie mogłem dostrzec, wszędzie tylko widać było skarbowany piasek, jasnego koloru. Z chwilą jednak, gdy rybak zapuszczał

ość w wodę, patrząc w tym kierunku, ujrzałem ciemniejszy krąg na piasku, jednakże tak samo pokarbowany, jak i piasek w jego otoczeniu.

Ciemniejszy ten krąg był właśnie wielką płastugą, która leżała białą swą, lewą stroną w jamce piasku, prawą zaś, ciemniejszą stroną zwrócona do góry; była tak samo pomarszczona, jak i piasek. Teraz dopiero spostrzegłem okrągłe kształty ryby i jej małą głowę, opatrzoną po prawej stronie osadzonemi oczami. Spuściwszy oście na pół metra nad rybą, uderzył rybak z całej siły i całym korpusem wsparł się na drążku. W tej pozycji pozostał przez kilka minut. Potem ostrożnie kierując ością z ukosa, wyjął z wody. Na ościach trzepotała się potworna ryba, która jak się potem przekonałem, ważyła czternaście kilogramów. Są jednak płastugi, tak olbrzymie, że ważą zwyż 50 kg. Rybak był tę zdobyczą ogromnie ucieszony. W czasie wojny bowiem ustało kompletnie rybołóstwo morskie i ryby nadzwyczajnie podrożały.

Parę razy jeszcze wyjeżdżałem z rybakiem na morze i zawsze wracaliśmy ze zdobyczą.

W lutym, kiedy wojna z Włochami lada dzień miała wybuchnąć, wyszedł zakaz wypływania na morze nawet za dnia. Musiałem przerwać te ciekawe i przyjemne wycieczki i wyjechałem z nad brzegów morskich, które niebawem stały się terenem wojennych zapasów.

Kto chce użyć przyjemnych wrażeń, kto ma żyłkę myśliwską i nie boi się wody, radzę, by sprobował tego sportu. Da mu to możność wykazania zręczności i sprytu i zaznajomienia się z życiem i zwyczajami mieszkańców głębin wodnych.

LEON STARKIEWICZ.

SZCZĘŚLIWE ZDARZENIA.

IV.

Jak cudowne bywa jesienne popołudnie w porze „babiego lata". Prawie cisza, a słońce leje przyjemne i rozleniwiające ciepło. Na wszystkich drutach, drzewach, trzcinach i wogóle wszelkich wzniesionych punktach łagodnie trzepocą białe nici. Inne powoli płyną w powietrzu niewiadomo dokąd, aby wreszcie zatrzymać się wedle swego przeznaczenia. Jesień, ta nadzieja i skarbnica nie tylko rolnika, wszędzie rozsypała szczodrze swoje złoto, by mile popieścić oko po znojnej letniej pracy, by pocieszyć ostatni raz przed okryciem świata w biały całun, skądinąd cudowny, ale zawsze zimny, a nawet zły podczas wichury.

Lubię takiego popołudnia wydostać się ze strzelbą za opłotki ludzkich siedzib Sokółki. Nasi „myśliwi" już w lipcu i sierpniu „wykończyli" kaczki i więcej na błocie nie depczą. Teren wypoczął, a bekasy dobrze wypierzone i tłuściutkie. Podrywają się niechętnie i lecą prawie prosto. Współzawodników na taką zwierzynę dotychczas brak, wobec tego wszelkie warunki do myśliwskiej rozkoszy. Trzeba dodać, że o tej porze często niewiadomo skąd przybywają kaczki i trzymają się zależnie od pory dnia albo gromadnie, albo też rozłażą się po jednej i dwie po podrosłej trawie. Dotrzymują jak nigdy i można już bez pomyłki wybierać włącznie kaczory, tak je zdradza srebro korpusu, oprawnego w dodatku w aksamitną zieloną głowę z białym pierścieniem na szyi.

Zeszłej jesieni o takiej ślicznej porze dnia uplanowałem delektowanie się bekasami. Ledwie wstąpiłem na błoto jak niespodziewanie jeszcze poderwał się długodzioby. Trach i pudło, aż Reks osłupiał. Po strzale o kilkaset metrów dalej zaczyna się straszny łopot i w powietrze wzbija się kilkaset kaczek. Znieruchomiałem, aby kaczki uspokoiły się. Po kołowaniu i zbadaniu terenu zapadły dalej na znane mi „okno".

Pod wiatr i korzystając jeszcze z dużej trawy i zapadania nóg zbliżyłem się o 40 kroków. Na hasło Reks rusza i spędza wszystkie kaczki w górę. Spokojnie wybieram kaczora i strzelam. Robi się w stadzie wyrwa, słychać padanie, potem kotłowanie. Powtarzam z drugiej lufy i widok ten sam. Nie śpieszę iść, a ładując strzelbę śledzę oczyma oddalanie się kaczek. Niebawem odrywa się od stada kaczor i planuje z rozpostartemi nieruchomo skrzydłami na pobliski grud. Sposób padania dobrze jest mi znany i zadowalający, bo w takiej pozycji ptak pada zawsze martwy, więc nie będzie kłopotu z szukaniem. Upewniam się oczyma, że reszta stada poszła zdrowo i kieruje wzrok na Reksa; trzymam koczora, wkładam do torby. Pies idzie dalej, do krzyżówki kaczki. Chcąc ją podnieść raptem zapadam po „już dosyć". Niezrażony dźwigam się, zabieram kaczkę. Pies prowadzi jeszcze do kaczora i potem do rzadkiej u nas szarej kaczki. Przeszukuję wokoło wody, więcej niema, chyba zanurzyły się. Udaję się na grud po kaczora. Był najwyższy czas, bowiem nad grudem unosił się kruk i zawzięcie krakał. Kaczor leżał nieżywy, gdzie upadł. Powracam do „okna", gdyż o ile jaka sztuka znurkowała, to w międzyczasie wypłynęła. Rzeczywiście pływa na środku dogorywający kaczor, a dalej dała nurka kaczka. Pies wynosi kaczora i po pewnej pracy łapie kaczkę.

Całe polowanie trwało niespełna godzinę. Strzałów dwa. Rezultat 4 kaczory i 3 kaczki, w tem jeden okaz szarej kaczki. Waga była taka, że ledwom przydźwigał do domu.

Po kilku dniach, dzień znowu ładnie patrzy. Wybieram się, oczywiście na kaczki. Zatrzymuję się chwilkę na torze kolejowym, aby zmiarkować, gdzie mogą siedzieć. Jakiś kosiarz grzęźnie w błotnistem dywanie. Spieszy z otawą, bo pierwsze trawy były złe.

Nagle spostrzegam kołującego błotniaka stawowego. Co chwila pada prawie w trawy. Już nie myślę o kaczkach, a śledzę, czy nie usiądzie gdzie na błocie na zwierzynę, albo i poprostu na odpoczynek. Niedługo wstrzymuje lot, staje niby dęba, ześlizguje się na skrzydło i uderza do trawy raz i drugi, poczem w niej zapada.

Natychmiast przywołuję psa do nogi i dobrze zauważywszy punkt, spieszę naprzełaj. Nie zwracając uwagi na podrywające się bekasy, zbliżam się na bliski strzał i nic, czyżby odleciał niezauważony? Puszczam psa i za chwilę dalej o 20 kroków wzbija się błotniak i ucieka, jak może. Strzał strąca go na miejscu i na zawsze. O sto kilkadziesiąt kroków podrywa się stadko przestraszonych krzyżówek. Ciekawi mnie jednak więcej, co było ofiarą mej ofiary. Po chwili odnajduję zmiętą trawę i w niej nieżywą już kurkę wodną. Była zupełnie cała; widocznie zgładzony nie lubił gorącego mięsa i czekał aż ostygnie, bo wole miał puste.

Przytraczam kurkę i spostrzegam unoszące się o kilkaset kroków nad szuwarami, duże stado szpaków, a niby to wśród niego, to obok — większy czarny punkt. Poznaję krogulca. Widzę, jak odbija od stada jednego szpaka, a ten ze strachem co sił leci w moją stronę. Zbliżają się do mnie szybko, już mijają i szpak jest zaledwie o metr od prześladowcy. Nie było czasu do stracenia i jakkolwiek dzieliło nas dobrych osiemdziesiąt kroków, mierzę do szpaka i strzelam czwórką. Szpak zdąża oddalić się, a jego miejsce zajmuje jastrząb i odrazu skręca w lewo i w tył, i ładnym lotem ślizgowym jedzie do ziemi. Mija mnie blisko, cokolwiek poprawia się i czepia się o graniczny kołek, nie składając skrzydeł. Wyraźnie widzę krew, i drugim strzałem skracam mu cierpienia.

Ostatecznie w ciągu paru minut na jednem miejscu na otwartej przestrzeni sroga przy pniu pokuta dwum szkodnikom. Takie są szczęśliwe wypadki. Nie było już kaczek. Poluję trochę na bekasy i wracam prędzej do miasta, aby zdążyć odesłać jeszcze tegoż dnia do wypchania zabite drapieżniki.

DOMINIK PIETRASZ.

SPRAWOZDANIE Z WABU ŁOSI W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ W ROKU 1932.

Sezon wabu łosi w roku 1932 skończył się. Zebrawszy wszystkie dane i raporty gajowych, chciałbym się z Kolegami myśliwymi i hodowcami podzielić spostrzeżeniami i wynikiem wabu łosi w ordynacji Dawidgródeckiej.

Obliczenie stanu łosi, które podałem do Łowca tego lata, to znaczy, iż z tegorocznemi młodemi obliczam 200 sztuk, w zupełności sprawdza się, co w czasie wabu nietylko mogli potwierdzić osobiście prócz mnie i gajowych, myśliwi i obserwatorzy, jak profesor Uniwersytetu Poznańskiego Schechtel i kpt. Józef Wł. Kobylański, członek Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego". Gajowi twierdzą jednakże, że łosi jest więcej, jeśli wziąć pod uwagę, iż w tym roku odchowanych łosz mamy 70 sztuk.

Jak co roku, gajowi zajęli swoje punkty obserwacyjne dnia 27 sierpnia. Już wieczorem słyszano wab, a dnia 29 rano sam słyszałem rujkę (pokrycie łoszy), co osobiście uważam za nadzwyczajnie wczesne, gdyż zazwyczaj następuje to dopiero około 8, 9 września.

Przebyłem w lesie dwa i pół tygodnia. W ciągu tego czasu widziałem 18 łosi różnej płci, gajowi zaś przez miesiąc widzieli zgórą 100 łosi. Pierwszy łoś na którego natknąłem się przypadkowo dnia 1 września, miał rogi rozrośnięte, wielkie, lecz pokryte mchem. Na jednym rogu miał 5 pasemek, na drugim 4. Bojąc się, iż dany okaz może być chory, zdecydowałem się go zabić. Przy patroszeniu nic podejrzanego nie widziałem, nawet odwrotnie, skonstatowałem, że łoś był ogromnie tłusty. Drugiego łosia zabiłem wspaniałego Ogromny łopatacz 9 - 8 pasemek, według mnie mój najlepszy w życiu. Miałem uczucie, że to ostępy z łosiami chciały mi się odwdzięczyć za pracę i opiekę, położoną dla nich. Trzeciego łosia zabiłem po 5 -5 pasemek dobrego.

Hrabia Jan Szołdrski zabił po 6 - 6 pasemek bardzo pięknego. Taką rozpiętość rogów i grubość rogu przy róży, jakoż i wagę czaszki uważam za bardzo rzadkie. Zresztą do niniejszego dołączam fotografię czaszek wszystkich 4 łosi z wymiarami i wagą.

Naogół w tym roku wiadomych nam rujek (czyli łosz odhodowanych) według ciągłej obserwacji, skonstatowaliśmy 70, co daje nadzieję, iż rozrost łosi w ordynacji Dawidgródeckiej postępuje normalnie.

W zeszłym roku, po skończeniu wabu łosi, napisałem sprawozdanie do Łowca, prosząc, aby i inni hodowcy podali choć krótką wzmiankę o stanie łosi w ich ostępach, jednakże nikt słowa nie napisał.

Uważając, że rzecz ta interesuje ogół myśliwych, a może i szersze społeczeństwo, ogromnie bym się cieszył, gdyby w tym roku w naszym Łowcu krótkie wzmianki były dane przez Dyrekcje Lasów Państwowych, Rzepichowskich lasów Hrabiego Potockiego, lasów Hrabiego Jundziłła, Poleskiego Towarzystwa Łowieckiego, majątku Tomaszgród pana Syczewskiego i inne. Chodziłoby o odpowiedź na następujące pytania:

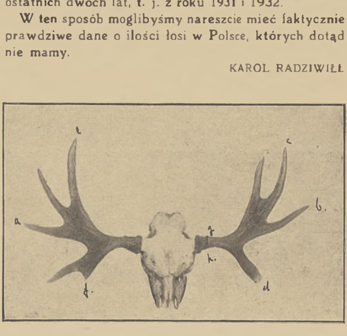
1) Ilość łosi w 1932 r.

2) Prawdopodobna ilość łosz w tym roku odchowana.

3) Wiadomości o przebiegu rozrostu stanu łosi ostatnich dwóch lat, t. j. z roku 1931 i 1932.

W ten sposób moglibyśmy nareszcie mieć faktycznie prawdziwe dane o ilości łosi w Polsce, których dotąd nie mamy.

KAROL RADZIWIŁŁ



Rozpiętość rogów (a-b) 96 cent. Wysokość prawego rogu (e-f) 61, lewego (c-d) 61, grubość rogu przy róży (g-h) 17½ cent. Waga czaszki 7 kilo.

PROGRAM I REGULAMIN

Zawodów Myśliwsko-Strzeleckich im. św. Huberta w Warszawie, które odbędą się na Strzelnicy Bractwa Strzelców Kurkowych w Szczęśliwicach w dniach 3, 4, 5 i 6 listopada 1932 r.

Z Warszawy dojazd do stacji Strzelnica-Stadjon elektryczną koleją dojazdową z ul. Nowogrodzkiej róg Marszałkowskiej. Czas przejazdu na strzelnicę 12 minut. (Pociągi co 15 minut). Cena biletu za przejazd — normalnego 40 gr., — ulgowego 20 gr.

1. UROCZYSTOŚĆ OTWARCIA ZAWODÓW

w dniu 3.XI b. r. o godz. 9.30 rano, godz. 10 — 11 strzały honorowe do tarczy Bractwa Strzelców Kurkowych.

2. PROGRAM STRZELAŃ:

Dnia 3 listopada 1932 r.—czwartek

godz. 11 — 13. — Jeleń ruchomy pojedyńczy. Przebieg 23 metry, w ciągu 4 sekund. Broń: dowolna myśliwska kulowa, bez lunet. Karabiny wojskowe niedozwolone. Ilość strzałów w serji 5 plus 2 strzały próbne. Odległość 100 mtr. Tarcza: jeleń brunatny, naturalnej wielkości w/g wymogów regulaminu Zawodów Narodowych. Zawodnik oddaje serje strzałów w 5 przebiegach, bez prawa przerywania konkurencji. Zawodnikowi przysługuje prawo wystrzelania w ciągu 2 dni jedynie 3 serji i oddania najlepszej z nich do oceny.
Wpisowe od zawodnika 10 zł. za całe strzelanie

godz. 13 — 15. Zając ruchomy pojedyńczy. Przebieg 23 metry w ciągu 4 sekund. Broń śrutowa, kaliber dowolny, maksymalna grubość śrutu 3,75 mm. (Angielski Nr. 1). Serja 10 zajęcy. Zawodnik ma prawo oddać do 20 strzałów (10×2). Odległość 35 metrów. Tarcza: zając naturalnej wielkości. Zawodnik oddaje serję strzałów do 10 zajęcy, bez prawa przerywania konkurencji. Zawodnikowi przysługuje prawo wystrzelania w ciągu 2 dni jedynie 3 serji i oddania najlepszej z nich do oceny. Wpisowe od zawodnika 10 zł. za całe strzelanie.

godz. 15 — 17. — Dzik ruchomy pojedyńczy. Przebieg 23 metry, w ciągu 4 sekund. Broń: dowolna myśliwska kulowa, bez lunet. Karabiny wojskowe niedozwolone. Ilość strzałów w serji 5 plus 2 strzały próbne. Odległość 50 metrów. Tarcza: dzik mały. Zawodnik oddaje serję strzałów w 5 przebiegoch bez prawa przerywania konkurencji. Zawodnikowi przysługuje prawo wystrzelania w ciągu 2 dni jedynie 3 serji i oddania najlepszej z nich do oceny. Wpisowe od zawodnika zł. 10 za całe strzelanie.

Dnia 4 listopada 1932 r.—piątek.

godz. 9 — 12. — Dzik ruchomy pojedyńczy. Strzelanie na warunkach, jak w dn. 3.XI b. r.

godz. 12 — 14. — Zając ruchomy pojedyńczy. Strzelanie na warunkach jak w dniu 3.XI b. r.

godz. 14 — 17. — Jeleń ruchomy pojedyńczy. Strzelanie na warunkach, jak w dniu 3.XI b. r.

Dnia 5 listopada 1932 r—sobota.

godz. 9 — 12. — Strzelanie Bractwa Strzelców Kurkowych.
Broń: karabiny typu dowolnego, przyrządy celownicze bez szkieł optycznych. Odległość 100 metrów. Postawa stojąca bez oparcia. Tarcza A — 50/20 cm. Ilość strzałów 10 ocenianych plus 3 próbne. Czas strzelania: 30 minut na zawodnika. Wpisowe 5 zł. od zawodnika.

godz. 12 — 16. — Konkurencja C.7.
Broń: pistolet lub rewolwer typu wojskowego, o kalibrze nie mniejszym niż 6,35 mm., o zapłonie centralnym, o lufie nie dłuższej ponad 20 cm., o przyrządach celowniczych otwartych. Odległość 10 metrów. Postawa stojąca z wolnej ręki. Tarcza: dwie sylwetki stojące jedna obok drugiej w odstępie 3 metrów. Ilość strzałów nieograniczona bez próbnych. Czas strzelania 8 sekund na zawodnika. Ocena: trafione strzały w sylwetkę o większej ilości śladów, liczy się po 5 punktów za ślad; trafione w sylwetkę o mniejszej ilości śladów — po 10 punktów. W razie równości śladów, liczy się w jednej sylwetce po 5 punktów za ślad, w drugiej po 10 punktów. Wpisowe: 1 zł. od zawodnika za strzelanie o nagrodę, oraz 50 gr. za powtórzenie wyłącznie dla oceny o odznakę strzelecką.

Konkurencja D.3.

Broń: pistolet typu dowolnego kal. 22. Odległość 50 metrów. Postawa stojąca z wolnej ręki. Tarcza A. 50/20 cm. Ilość strzałów: 30 strzałów ocenianych. Ilość serji 3 po 10 strzałów. Ilość strzałów próbnych 9, dowolnie rozłożonych. Czas strzelania 20 minut na serję. Wpisowe 1 zł. od zawodnika za strzelanie o nagrodę, oraz 50 gr. za powtórzenie wyłącznie dla oceny o odznakę strzelecką.

Konkurencja D.4.

Broń, odległość, postawa, tarcza, czas strzelania oraz wpisowe jak w konkurencji D.3. Ilość strzałów: 20 ocenianych. Ilość serji: 2 serje po 10 strzałów. Ilość strzałów próbnych: 6 dowolnie rozłożonych.

Konkurencja ED.14.

Broń: długa małokalibrowa, typu dowolnego o kal. najwyżej 5,85, o przyrządach celowniczych bez szkieł optycznych. Odległość 50 metrów. Postawa: regulaminowa stojąca bez oparcia. Tarcza B. 20/14 cm. Ilość strzałów: 20 strzałów ocenianych. Ilość serji: 4 serje po 5 strzałów. Ilość strzałów próbnych: 6 dowolnie rozłożonych. Czas strzelania 8 minut na serję. Wpisowe: 1 zł. od zawodnika za strzelanie o nagrodę, oraz 59 gr. za powtórzenie wyłącznie dla oceny o odznakę strzelecką.

Konkurencja ED.18.

Broń, odległość, postawa, tarcza, czas strzelania oraz wpisowe, jak w konkurencji ED. 14.

Ilość strzałów: 10 strzałów ocenianych. Ilość serji: 2 serje po 5 strzałów. Ilość strzałów próbnych: 3 dowolnie rozłożonych.

Dnia 6 listopada 1932 r. — niedziela.

godz. 9 — 15. — Konkurencja D.3, D.4, ED.14 oraz ED.18. strzelania na warunkach jak w dniu 5.XI b. r.

3. NAGRODY.

Uroczyste rozdanie nagród, żetonów i dyplomów odbędzie się w dniu 6.XI. 1932 r. o godz. 20-ej, w lokalu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, Nowy Świat 35.

4. REGULAMIN ZAWODÓW.

W czasie zawodów obowiązuje regulamin Zawodów Narodowych z drobnemi zmianami, uzależnionemi od miejscowych warunków strzelnicy, które zostaną dodatkowo wywieszone na strzelnicy.

1) Komisarz Główny Zawodów może zmienić kolejność strzelań, zależnie od napływu zawodników.

2) Broń i amunicja własna zawodników. Broni Komitet Zawodów wypożyczać nie będzie.

3) Zawodnik może zapisać się do poszczególnej konkurencji tylko jeden raz, ale ma prawo brać udział we wszystkich strzelaniach.

4) Strzelań C.7, D.3, D.4, ED.14, ED.18. oraz strzelania Bractwa Strzelców Kurkowych powtarzać w konkurencji o nagrody nie wolno. Wyniki ze strzelań tych jednocześnie będą oceniane o odznaki strzeleckie. Jedynie zawodnicy, którzy nie osiągną wyników, wymaganych do odznaki strzeleckiej, mogą za dodatkową opłatą powtórzyć jeden raz konkurencję o odznakę strzelecką.

5) Udział w zawodach — dopuszczalny i pożądany dla wszystkich stowarzyszonych zawodników z terenu całej stolicy (Okr. XI) oraz z terenu DOK. Nr. I (Okr. I) województwa warszawskiego.

6) Podział na klasy: W konkurencjach C.7, D.3, D.4, ED.14 oraz ED.18 zawodnicy będą klasyfikowani w 2 klasach: I klasa strzelcy wyborowi oraz strzelcy z I — II klasą O. S., II klasa strzelcy z III klasą O. S. oraz nieposiadający odznaki.

7) W konkurencjach myśliwskich oraz w strzelaniu Bractwa Strzelców Kurkowych — klasyfikacja tylko w jednej klasie.

5. KIEROWNICTWO.

Komitet Organizacyjny Zawodów powierza godność Komisarzy Głównych Zawodów:

w dniu 3 i 4 XI b. r. p. Edwardowi Kłossowskiemu, strzelmistrzowi Bractwa Strzelców Kurkowych;

w dniu 5 i 6 XI b. r. por. Juljanowi Leśniewskiemu, obwodowemu Z. S., zastępcy szefa wydziału strzelectwa Komendy Głównej Związku Strzeleckiego.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI NA PAŹDZIERNIK.

Przez cały miesiąc polować wolno na jelenie-byki, daniele-byki, sarny-kozły, cietrzewie-koguty, jarząbki, pardwy, kuropatwy, przepiórki, słonki, bataljony, dzikie kaczory, dzikie kaczki oraz inne ptactwo wodne i błotne, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty, dzikie łabędzie, dzikie gęsi, ptaki krukowate i drapieżne.

Od 16 października polować wolno na dzikie indyki-samice i samce.

Od 21 października polować wolno na zające-szaraki.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. br. Potocki, A. br. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

SKŁAD BRONI I AMUNICJI „ŁOWIEC"

WARSZAWA, UL. WIDOK 22, TELEFON 504-93

Zaopatrzony w towar najlepszych marek
Na składzie okazyjna broń mało używana.
Warsztaty reparacyjne wykonywują szybko wszelkie naprawy
Ceny wyjątkowo niskie.
Fachowa obsługa. Terminowa dostawa

Szanownej Klijenteli poleca się

WILHELM ZIEGENHIRTE

B. współwłaściciel f-my „H. Strahurzyński i S-ka", długoletni współprac. „H. Sawicki i St. Czerski" i „Robert Ziegler".

S. HISZPAŃSKI szewc

w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 7, Telef. 648-02.
Nagrodzony Złotą Tarczą na P.W.K.
Istnieje od 1838 r.

SPECJALNOŚĆ! Obuwie myśliwskie.

ZAKŁAD KRAWIECKI PIOTR PETZ

WARSZAWA, UL. TRĘBACKA 3 m. 1

Poleca W.P. właścicielom majątków, leśniczym, agronomom specjalne kurtki, spodnie i kamizelki myśliwskie.

WARUNKI NAJDOGODNIEJSZE.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, tel. 639-36.

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: Urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

ZNAKOMITE BEZDYMNE NABOJE ŚRUTOWE

WŁASNEGO WYROBU

poleca

Warszawska Spółka Myśliwska
Skład Broni i Fabryka Amunicji

w Warszawie, ul. Królewska 17

ODDZIAŁY: POZNAŃ, UL. GWARNA 12
LWÓW, PLAC MARJACKI 4
WILNO, UL. WILEŃSKA 10

ŻUBR,

jego historja, obyczaje i przyszłość
przez
JANA SZTOLCMANA

znajduje się na składzie
w Redakcji „ŁOWCA POLSKIEGO"
Nowy-Świat 35.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.